

# ROMANŚ I POWIEŚĆ

Rok XVIII.

Warszawa, dnia 24 kwietnia 1926 roku.

Nr. 17.

ALEKSANDER ALFRED KONAR.

POWIEŚĆ Z CZASÓW PRZEDWOJENNYCH

## BEZ SERCA.

17)

Zażądała od męża — zamiast trudzenia go osobistym rewizytowaniem tego małego urzędniczka na jakimś prawdopodobnie najpodrzedniejszym czwartaku — aby wręczył swój bilet służącemu Franciszkowi, który miał tę kartę rzucić w nieobecności Janka w bramie jego domu — stróżowi, lub szwajcarowi.

A potem należało jeszcze zaprosić gościa choćby raz jeden na śniadanie; oczywiście nie pierwszorzędne, lecz w każdym razie o tyle o ile ceremonjalne z menu, zastawą i kwiatami 2-ej klasy; lecz bez mademoiselle i bez Hani przy stole.

Po dyżestyjnej wizycie młodzieńca już można będzie zakończyć w podobnie kulturalny sposób wszelkie dalsze towarzyskie stosunki z tym chłopakiem, którego à tout prix chciała zmyć gąbką ze swej myśli. Ten sam wstręt czuła zawsze dla niewypranej bielizny i dla błota, w którym — pamięta, jak nieuważnie zawałała sobie raz nowiutkie białe pantofelki, wychodząc w ciemnościach nocy ogrodowej z restauracyjnej uroczystości, zaproszona kilkoma imieninowemi kieliszkami szampana. Uważała wtedy, że cała ta imieninowa zabawa nie była warta zbrukania ślicznych białych pantofelków.

Czemuż zapomniała o tem w Lucernie? Uczuła wstręt do samej siebie.

Śniadanie — jak postanowiła — odbyło się podług należytego programu. Biedny sezonowy idealik (a raczej ersatz ideału) zjawił się zgodnie z przewidywaniem pani Heli (o! horrendum!) w smokingu. Usadzony był, jako pierwszy raz zaproszony — przy gosposy domu. Z drugiej strony pani umieszczono jedynego gościa (bo nawet Quira nie zaproszono z powodu jego gazeciarskiej przenikliwości), zdegradowanego już do śniadań II-ej klasy, starego barona Leonarda Menkiela, którego tradycje wielkiego ongi majątku, arystokratycznych stosunków i klubu — blakły już wraz z coraz staranniej prasowaną i coraz wątpliwszej świeżości garderobą.

Niedawno jeszcze noszony na rękach w salonach mieszczańskich, dzięki przyjaźni z margrabiną i z osobami ze „świata“ (przenoszącymi się już z powodu wieku coraz obficie do lepszych światów poza światami) — począł powszednieć już i w salonach mieszczańskich. Przedostał się już z klubu kursujący o nim dowcip, że różnił się od Leonarda da Vinci tem, że Leonard da Vinci malował Wieczernę Pańską, a Leonard Menkiel wieczerze pańskie... zjadał.

Tolerowano więc łysawego już z uczernionym wąsikiem pieczeniara (dzięki jego doskonałej francuszczyźnie i monoklowi, którem to narzędziem dystynkcji klasycznie lawiował) — jako wyrocznie form towarzyskich w coraz posłedniejszych salonach, ko-

rzystających z jego rad; bo nie wszystkich tajemnic savoir - vivre'u zdążono już w nich nauczyć się na pamięć. Choć należało panu baronowi przyznać, że nie tylko towarzysko, lecz wogóle kulturalnie stał wyżej od młodych.

Lecz część gorzej uświadomionej Warszawy tłumaczyła sobie stałą asystę Menkiela (pomimo jego łysiny i czernidła) przy snobistycznej mieszczce zupełnie inaczej. A część niewyrozumiałego towarzystwa poczęła nawet bojkotować panią Helę za nietakt afiszowania się tem, co wybaczają się jedynie prawdziwym damom. Bo quod licet Jovi, non licet bovi.

— Cynizm tej mieszczki dowodzi — zawyrokoowały podupadłe arystokratki, zazdroszczące zbożaczej parwenjuszce — że nie jest już debiutantką w zawodzie prowincjonalnej lwicy.

Baron zauważył po spożyciu podanego w filiżankach crème aux fines herbes, że był bez zarzutu; zachwycał się również sosem holenderskim, w którym podano jajka w terinkach. Choć to zaszczytne ongi uznanie — nie wprawiało już w dumę pani domu, która zauważyła, że baron wszystko pochłania z wilczym apetytem, świadczącym o zbyt skromnym odżywianiu się poza proszonemi obiadami.

Lecz znacznie smutniejszym odkryciem był dla pani Heli najkompletniejszy analfabetyzm towarzyski Janka, który wylał jajka z terynki na talerz, zamierzając spożywać je jak najniewłaściwiej widelcem, choć gosposy domu jaknajdyskretniej zasuflerowała mu łyżeczkę. Nie zdjął też leżącej na deserowym talerzyku okrągłej koronkowej serwetki, na której zamierzał położyć podawany mu krem. Gruszkę jadł nożykiem, choć obok łyżeczki leżał do kompletu złożony widelczyk. (Jak można tego nie widzieć?).

No, a w dodatku ta mina jego w tym labiryncie paragrafów, form, nakazów, wśród których błędził spłoszony, jakby po raz pierwszy z ciemnej suteryny wznosił się do bieli ukwieconego obrusa pierwszego piętra, które nieprzyzwyczajonego do światła oślepiło. I ani śladu owej ślicznej białej pikowej czapeczki kapitańskiej z daszkiem. I ten ohydny, wyszarzany, źle skrojony, prawdopodobnie na dziś wypożyczony smoking garsona z trzeciorzędnej restauracji. I nie wiedział, że żona ordynata Zamojskiego jest z domu Potocka!

Janek, choć nie orzeł, zdawał sobie sprawę, że jest dziś bardziej shocking, niż kiedykolwiek. Bo najbardziej płoszył go smutek, którym odgadł brak wyrozumiałości korepetytora. Bo choć ku wielkiej swojej rozpaczycy przeczuwał już po nieprzyjęciu jego pierwszej wizyty, że przestrzeń pomiędzy Warszawą

a Lucerną — będzie nie do przebycia, łudził się jednak młodzieńczo, że to się stać nie może, że nie powinno się nigdy tracić nadziei, że wstyd być pesymistą i t. p.

Wiedział, że nie jest doświadczonym bywalcem salonowym; lecz był pewny, że będzie karciała jego pierwsze kroki w salonie, jak dobra matka, której miłość ośmiela, a braki pokrywa. I był zdumiony jej nieoczekiwanym postępowaniem. Palił mu wewnątrz ten wrogi lód obcego prokuratora, macochy, lub belfra — w obłudzie wyperfumowanych taktem rękawiczek.

I zamiast czynić postępy w przyjaznym nastroju — czuł, że tępieje wśród męki tego *dejeuner dinatoire* (jak w niezrozumiałym dla niego języku nazwała ten wczesny obiad pani domu). Czuł, jak w rosnącej dokoła niego jak na drożdżach niechęci i irytacji wypełnia coraz większe „gaffe'y”. Aż zniechęcony, machnąwszy ręką na wszystko, zamknął usta na cztery spusty, licząc sekundy, aby ta „piła” w końcu już ustała. Bo przecież tak, czy owak wszystko się skończyło, nie miał już co do tego żadnych wątpliwości.

— Nie można być do tego stopnia kancelistą kolei Nadwiślańskiej — zakonkludowała, widząc, jak drżącą ręką nie potrafi poradzić sobie „z garniturem” pieczystego, podawanego przez poważnego lokaja.

Ten syn zawiadowcy stacji jakiegoś Rypina, który nawet gimnazjum nie skończył, który otrzymał arbuza od siostrzenicy Kunegundy w Ciechocinku — dziś wystrojony w półkoszulek, wyłaniający się niesfornie ze źle skrojonej smokingowej kamizelki, w przyprawnych mankietach z ohydnyimi tombakowymi spinkami — nie miał nic wspólnego z tym z innej planety, bez stempla, bez nazwiska władcym pazikiem w estetycznym sportowym ubraniu, z uosobieniem młodości, szalu, zapomnienia.

— Nie, nie — wszystko się skończyło. Nie, nie, tego wcale nie było, — oprzytomniała na ziemi w Warszawie, zbudzona ze snu czarownego, a raczej zamarta powrotnie w letargu pretensjonalnej szarzyzny salonów. Bo może ten czarowny sen był życiem, a życie salonów letargiem?

Lecz od dnia zetknięcia się ze światem, od dnia wizyty Kunegundy, w ukrywanym potopie lez kilku nieprzespanych nocy — zatonął bożek i pazik. A zrodził się kancelista z kolei Nadwiślańskiej z salonów Kunegundy.

Rzuciła okiem na służącego, aby odebrał gościowi płukanekę, z którą Janek stanowczo już nie wiedział, co robić.

— Ach! Kiedyż to śniadanie nareszcie się już skończy?

Nie mniej, niż ona, pragnął końca śniadania i Janek, przekonany, że nigdy nie przeżyje chwil cięższych i karmu bardziej gorzkiego, niż ten podawany mu zatruty cukier w złoconej klatce, w której ruszać się nie potrafił i która męczyła go, jak sromotne jarzmo w niewoli naidjotyczniejszych obcych mu konwensów; jak trumna w karawanie 1-ej klasy, w której by go żywcem wieziono.

Wstydził się sam przed sobą, jak mógł mu dawniej ten blichtr imponować. Dziś poprostu go znienawidził. Ongi, jako syn Petroneli z domu Jaksa-Malinowskiej, był umiarkowanym prawicowcem, szcyczącym się swemi quasi kulturalnymi drobno szlacheckimi tradycjami po kądzieli. Nosił nawet ten nieodłączny u nas sygnet herbowy na palcu.

Dziś dopiero w atmosferze komfortu, zapożyczanego u arystokracji, wśród wielkowiejskiego przepychu

burżujów — kipiał jadem proletariusza ku tej ongi jego królowej.

Jedynie dezynwolturą tego najwstrętniejszego dla Janka salonowca, starego lowelasa, wyjadacza — ratowała wiadomostkami (w kim kocha się obecnie Anastazy Lubomirski i co powiedziała Arcyksięciu Sergjuszowi Natalka Zamojska na recepcji w zamku) — nieznośny *stimmung* salonu, w którym 2-ch lokajów w rolach owej małpy i niedźwiedzia obnosili z uroczystą przenudną godnością napastrki z kawą czarną, koniak i likiery.

I ten nieobyty, źle ubrany kancelista zrozumiał, że pani Hela zniecierpliwionem okiem strofuje wciąż służbę o pośpiech.

Nie! Stanowczo ci dwaj lokaje byli mniej shocking, niż on, ideał ze Szwajcarii! I z pewnością ta służba „z dobrych domów” musi pogardzać człowiekiem, który — poza półkoszulkiem przy smokingu, noszonym od samego rana — zostawia jeszcze swój wytarty „melon” nie w przedpokoju, lecz na fortepianie wraz z zapoconymi rękawiczkami.

Gaffa na gaffie.

Ha! Może to i lepiej dla jej przyszłości i dla jego spokoju, niż gdyby był zjawił się w swojej szwajcarskiej białej czapce z daszkiem kapitana okrętowego, w sportowym jasnym ubraniu i w długich pończochach pazika.

Czara po wypitym nektarze rozkoszy rozbita na kawałki tak, że śladu po niej nie pozostanie. Oby tylko raz już ta pogrzebowa stypa się skończyła. I dopiero na pożegnanie ze źle hamowaną nagromadzoną pogardą pani Hela, mszcząc się za zawód, jaki jej w Warszawie sprawił, wybuchła najniepotrzebniej z królewskością prowincjonalnej aktorki, źle udającej księżnę:

— Mąż mój zna dobrze pańskiego naczelnika — z wyniosłą godnością zegnała go już nie jako gościa „z towarzystwa”, lecz jako kogoś z ulicy — gdyby pan kiedy potrzebował jego protekcji — zastanie pan mego męża w kancelarji zawsze pomiędzy godziną 4-a a 6-a.

— Cesarzowa Katarzyna — bąknęło Jankowi w myśli — opłacała także przy rozstaniu swoich drańbów złotem, lub protekcjami.

— Dziękuję — wycedził z jadem nienawiści dla swego *ex bożyszczka* i z tytaniczną pogardą dla burżujów, którym zawdzięczał najohydniejszą w swoim życiu mękę dzisiejszego *dejeuner - dinatoire*. — Nie będę mógł korzystać z jego uprzejmości, ponieważ (postanowił to w tej chwili) najnieodwołalniej opuszczę Warszawę i przenoszę się na stały pobyt do Radomia na ofiarowaną mi tam posadę. Żegnam panią.

Pocałował ją jaknajzimniej w rękę; pożegnał gospodarza domu i barona z godnością „ubogiego, lecz szlachetnego młodzieńca” i znikł, jak kamfora.

— Czy zamierzasz często zapraszać tego poczciwca? — drwił pogardliwie pan małżonek.

— Trzy razy tygodniowo, nie licząc świąt i galówek zamiast emetyku. Biedactwo! — roześmiała się pani Hela rada, że wszystko się skończyło.

— Bądź łaskawa uczynić to zawsze podczas mojej nieobecności. Słowo daję, nie mam zdrowia do takich gości. To jest nieoszlifowana drewniana piła.

(D. c. n.).

# 4) ŻÓŁTA TWARZ.

O 7-mej posłaniec wędrował z listem, jednak nie do Bristolu, ja zaś pukałem do drzwi Kawasakiego...

Przyjął mnie na progu, w głębokim ukłonie, z przemiłym, dawnym swoim uśmiechem. Miał na sobie wykwintny garnitur frakowy, z białą chryzantemą w butonierce. Białe chryzantemy rozsiane były po całym apartamencie, który ponadto wdzięcznie zdobiły najrozmaitsze drobiazgi japońskie (jak mi później wyjaśniał mój egzotyczny przyjaciel, nie rozstawał się on z nimi nawet w podróży).

Kawasaki był czarującym gospodarzem. Piliśmy przyrządzoną własnoręcznie przez niego herbatę japońską, oglądaliśmy japońskie książki i rysunki, błyskotliwie gawędząc o sztuce i literaturze. Ani się spostrzegłem, jak wybiła ósma i czas był do teatru.

W operze nasze pojawienie się w loży wywołało istną sensację. Niedzieli w kalendarzu odpowiadała iście niedzielna publiczność na widowni. Poczciwy świąteczny i odświętny ludek gapił się nieustannie w naszą stronę przez lornetki, bądź gołem okiem; niektóre zaś typy powojenne pokazywały nas sobie wręcz palcami. Mnie to denerwowało, Kawasaki natomiast siedział z iście wschodnią obojętnością i zdawał się poza mną nikogo nie dostrzegać. Mówił o muzyce rzeczy tak głębokie i frapujące, że oczarował mnie doreszty.

Wysłuchaliśmy cierpliwie do końca „boskiej Aidy“, która, niestety, nie była bynajmniej boską, poczem, w myśl programu, ułożonego zgóry przez Kawasakiego, udaliśmy się na kolację. Chciałem go zaprowadzić do starej, renomowanej restauracji, gdzie, pomijając już względy kulinarne, moglibyśmy wygodnie posiedzieć i spokojnie porozmawiać. Jakież było moje zdumienie, kiedy mój Kawasaki zaproponował mi modny lokal z dancinżem! Widząc moją zdziwioną minę, Japończyk wesoło się roześmiał i wytłumaczył mi, że chodzi mu o pewną ilustrację, nietyle muzyczną, ile rzeczową, do naszej rozmowy. W pierwszej chwili nie zrozumiałem, co ma na myśli; wkrótce pojąłem go aż nadto dobrze!...

Znaleźliśmy się zatem we wskazanym przez niego lokalu.

Zjedliśmy naprzód na dole kolację, przyczem Kawasaki nie tknął prawie jedzenia, natomiast pił ohocho wino i mnie do picia zachęcał. Był bardzo wesoły, dowcipkował, zainteresował się nawet, co prawda tylko zdaleka, siedzącą opodal bujną blondyną, której się dyskretnie ukłoniłem. Słowem, oszołomił mnie!...

Po kolacji udaliśmy się na górę do sali dancinżowej. Zaraz na wstępie ogłuszył nas przeraźliwy ryk *jazz-bandu*, oslepił blask górsów męskich, skłębiony z białą obnażonych piersi, ramion i pleców kobiecych, blask tyluż fałszywych oczu, co fałszywych brylantów... Poczułem się trochę nieswojo. Kawasaki promieniał i zdawał się być w siódmym niebie!... Zaraz też przy naszym stoliku strzeliła flaszka francuskiego szampana, zabulgotała maszynka czarnej kawy; spiętrzył się przed nami stos owoców.

Gdy zapaliliśmy doskonale cygara, które Kawasaki wziął dla pewności z sobą, towarzyszył mi rozsiadł się wygodnie w krześle, wyciągnął przed siebie

krótkie nogi, przetarł okulary i z pod zmrużonych powiek przyglądał się dancinżowemu szaleństwu. Na złotem obliczu azjaty malował się wyraz najwyższej błogości!...

W wyrazie twarzy Kawasakiego, w sposobie jego zachowania się było jednak coś, co mnie mroziło. Uśmiech Japończyka wydał mi się dziwnie jadowity, a jego radość — wręcz złowroga. Znałem zbyt dobrze poważną, czystą naturę Kawasakiego, jego subtelność delikatności uczuć, wyrafinowany smak; wiedziałem, jakie jest stanowisko mego przyjaciela wobec życia, w którym widział przedewszystkiem pracę dla przyszłych pokoleń, i wobec kobiety, która była dlań przedewszystkiem matką, karmicielką, siostrą ziemi, — abym mógł na chwilę przypuścić, że ta dzika murzyńska muzyka, te dzikie, wyuzdane tańce, ta parna, mniej lub więcej ordynarna atmosfera pijaństwa i rozpusty, to królestwo pierwotnych żądz, zlekka tylko powleczone pokostem wielkowiejskiej kultury, — mogły mu sprawiać naprawdę przyjemność! Jeżeli więc cieszył go, to przyczyna jego niesamowitej radości musiała być inna. Instyktownie wyczuwałem w niej to, coby Niemiec określił, jako „*Schadenfreude*“. Kawasaki robił na mnie w tej chwili wrażenie wielkiego, przyczajonego złotego pajaka, który z wyżyn swej sieci obojętnie, ba — z uciechą, przyglądał się skłębionym gdzieś w dole głupim muchom, wyczerpującym się wzajemnie w jakimś obłędnym szale, by tem łatwiej wpaść w zastawioną sieć i stać się żerem pajęczym!...

Wzdrygnąłem się. Gwałtownym ruchem podniosłem do ust szklankę szampana.

— Co to panu? — zapytał troskliwie Kawasaki, musnąwszy mnie przeciągłem spojrzeniem.

— Ach, nic!... — z trudem odpowiedziałem, szcękając zębami o brzeg szklanki. Wychyliłem ją jednym haustem. Zrobiło mi się nieco raźniej. — To tylko, jak mówią u nas, „śmierć zajrzała mi w oczy“!... — dokończyłem, siląc się na spokój i próbując się uśmiechnąć.

— Śmierć nie zagląda w oczy, mój przyjacielu, temu, kto, jak pan, śmiało jej w oczy zagląda! To dobre dla tych!... — Kawasaki z lekceważącym gestem, znów jakby ruchem sierpa, zatoczył półkole po roztańczonej sali.

Skinął na kelnera i kazał nam dolać wina.

— Zdrowie pańskie! Zdrowie wspomnień heidelberskich! — trącił się ze mną szklanką.

— Niech mi pan powie, Kawasaki, — odezwałem się po chwili matowym głosem — czy pana istotnie bawi to i cieszy?

— Co?

— To, co się tu dzieje.

— Jeżeli mam być zupełnie szczery, — Kawasaki obojętnie płókał kiść winogron — to tak! Wszystko jest, jak sobie wyobrażałem.

— Co pan sobie wyobrażał?

— Właśnie Europę... dzisiejszą... powojenną!...

— Lecz przecież dancinż nie jest istotną treścią Europy!

— Być może... jest jednak, przynajmniej dla mnie, aż nadto wyraźnym świadectwem tego, co się stało i... co się stać musi!... To już nie wesoła, beztrocka, również może wyuzdana, lecz w każdym razie smaczniejsza i bardziej... europejska zabawa na paryskim Montmartrze, czy wiedeńskim Praterze, z przed lat kilkunastu. To... taniec na wulkanie... chęć zapomnienia... chęć ucieczki...

— Przed czym?

— Przed... *bladym strachem*...

— Nie rozumiem pana!

— Drogi przyjacielu, — Kawasaki z namaszczaniem mieszał wykałaczką w świeżo napełnionej szklance — zjeździłem ostatnio całą Europę... byłem wszędzie i wszędzie widziałem ów *blady strach*, z jakim wszyscy razem i każdy z osobna patrzycie w skryty za chmurami dzień jutrzejszy... Byłem w potężnej Anglii i widziałem, jak blednie ona pod maską rumianego dosytu — kwestja olbrzymiego, z dniem każdym rosnącego bezrobocia, widmo Wschodu, zagrożone kolonje... oto czerw, toczący dumny Albion!... Byłem w słonecznej Francji, o jakże tam dziś pochmurno!... Byłem w faszystowskich Włoszech... Mussolini jest bezwątpienia wielkim człowiekiem, godnym Romy świetnej tradycji, ale reszta!... cóż robić?... czasy są małe, ludzie naogół skarleli... więc i tam nie jest różowo!... Byłem w Niemczech... dyszące zemstą i po staremu pobrzękują mieczem, ale gangrena powojenna zrobiła swoje... ot, mierzwa!... napozór, rzekłbyś — grzyb wspaniały, a gdy nadepniesz nogą, okaże się, że to tylko nadęta purchawka... rozumie to garść lepszych Niemców i, zaiste, ich noce są bezsenne!... Byłem w Rosji sowieckiej... i tam nie wygląda lepiej, a raczej — wygląda znacznie gorzej!... strząsnąwszy z siebie słabiutki pokost Europy, a nie dorósłszy nawet w milionowej części do istotnego, wielkiego ducha Azji, potwór ten, krwią i krzywdą napęczniały, zdala trupem cuchnący, wisi w próżni na pograniczu dwóch światów, snuje krwawe marzenia o „wszechświatwym pożarze“, a nie widzi, że ogarnia go samego pożar niewinnie przelanej krwi, groźny choć niewidzialny... czuje, że mogłaby go jedynie uratować nowa wojna, niosąca nową zawieruchę, a jednocześnie lęka się jej, bo jeżeli powojenny naród niemiecki nazwałem mierzwą, to na określenie przeciętnego szarego „obywatela“ sowieckiego brak mi odpowiedniego wyrazu... słowem, cuchnący grób, pełen bojaźliwie rojącego się robactwa!... — Kawasaki pogardliwie odrzucił wykałaczkę. — Nie mówię już o pomniejszych państwach i narodach... wszędzie, nawet w tak zwanych „krajach neutralnych“, to samo... *blady strach*, w najlepszym razie — zmora ciężkiej troski!... Jestem wreszcie w Polsce i, niestety, widzę — przyzna mi to pan, mój przyjacielu — że nie wszystko, a raczej bardzo mało dzieje się tak, jak to pan sobie kiedyś wyobrażał i w co święcie wierzyliśmy obaj czasu naszej naiwnej, pierwszej młodości heidelberskiej!...

Zaległa dłuższa chwila ołowianego milczenia.

Nad głowami skrzeczały nam cudaczne instrumenty muzyczne i porykiwali coś z murzyńska semiccy grajkowie; wokół naszego stolika wirowały liczne pary w tańcu, co doskonale przypominał tarcie ryb. Jakaś doskonale obnażona i zlekka chwiejna brunetka, zaintrygowana egzotyczną osobą mego towarzysza i naszą wystawną samotnością, próbowała przysiąść się do nas. Nachyliła się kokieterjnie nad

Kawasakim i, niby to wachając chryzantemę w jego butonierce, muskała go po twarzy wyniosłością śniadej piersi. Doleciała nas ostra woń potu i alkoholu. Kawasaki skrzywił się nieznacznie, wyjął niedbale z kieszeni kamizelki jakiś banknot i, dyskretnie wsunawszy go dziewczynie w zagłębienie wilgotnego dekoltu, lekko ale stanowczo odsunął ją od siebie. Potrzęsnęła z godnością wdzięczną fryzurką paziowską i dumnie odeszła, niczem obrażona markiza. Wśląd za nią pobiegło drwiące, pogardliwe spojrzenie Japończyka.

— Mówiliśmy więc... — zwrócił się uprzejmie do mnie.

— Niech mi pan lepiej, Kawasaki, powie coś o sobie! — przerwałem mu znużonym głosem. — Co działo się z panem przez te lat dwadzieścia? Co pan porabiał? Nad czym pracowałeś?... Należy mi się chyba tych kilka informacji, jako pańskiemu przyjacielowi, jeżeli mnie pan rzeczywiście uważa za takiego!

— Ależ naturalnie... i to za jednego z najdawniejszych! — przepił do mnie Kawasaki. — Niewątpliwie należy się panu moje *curriculum vitae*... Ale widzi pan, stary przyjacielu, jest ono tak mało interesujące, że doprawdy bałbym się nadużywać pańskiej cierpliwości!... Byłem żołnierzem, tak jak pan, biłem się za wielkość mej Ojczyzny. Niestety, poeta nie byłem i nie będę, brak mi bowiem tego boskiego daru. Interesuje mnie polityka, zresztą tylko jako problem. Poza tem, jak już miałem zaszczyt panu wspomnieć, oddaję się nauce. Wiedzę moją czerpię nietylko z książek, ile z życia. Dzięki niezależności materialnej, jeżdżę dużo po świecie. Jestem samotny; żona moja odumarta mnie w kilka miesięcy po ślubie, nie pozostawiwszy mi nawet syna. Pamięć o niej nie pozwoliła mi wstąpić w ponowny związek małżeński. Życie osobiste, indywidualne szczęście złożyłem w ofierze życiu i szczęściu mego wielkiego narodu i mojej rasy. Oto wszystko.

— Wspomniał mi pan dziś rano, Kawasaki, że interesuje go historia ras ludzkich i że od dłuższego czasu pracuje pan nad książką, w której wyprowadzasz interesujące wnioski. Czy wolno wiedzieć, jakie są te wnioski?

— Właśnie... o kończącej się Europie! — uprzejmie, prawie słodko odrzekł Kawasaki, starannie obierając gruszkę.

I znów zaległo martwe milczenie...

Żółty pajak przyczaił się w sieci, a dokoła w obłądnym szale wirowały skłębione muchy...

Wirowały... wirowały...

Mgła przesłoniła mi oczy...

A w tej mgłę, w szyderyczym błysku skośnych oczu, w upiornym lśnieniu zębów, w potwornym uśmiechu, wyłaniała się *ona*...

Zawsze i wszędzie *ona*...

Żółta twarz...

(D. c. n.).

